

Dziwny naród z bujną wyobraźnią

MIKOŁAJ GRABOWSKI |

Reżyser mówi Jackowi Cieślakowi o premierze „Min polskich”, która odbyła się w Teatrze Polskim w Warszawie 29 stycznia.

„**„Miny polskie” to znakomity tytuł, który lokuje nas w samym centrum gombrowiczowskiego patrzenia na polskość, które intryguje pana od lat i napędza pana twórczość. Czego tym razem możemy się spodziewać w spektaklu?**

MIKOŁAJ GRABOWSKI: Historia powstania tego tekstu jest następująca: parę lat temu przyszedł do mnie Tadeusz Nyczek z propozycją przeczytania scenariusza, który nosił intrygujący tytuł „Miny polskie”. Przeczytałem i pomyślałem – co to za szatański pomysł! Poprosiłem Tadzia o możliwość wtrącenia swoich trzech groszy do jego adaptacji. Pozwolił. Dodałem parę tekstów, on w odwecie podsunął nowe, na co ja odpowiedziałem kolejną zmianą. I tak, wędrując od Nyczka do Grabowskiego, powstał tekst, którego premiera miała miejsce w Toruniu w grudniu 2014 roku. Scenariusz grany w Teatrze Polskim jest mocno zmieniony. Przede wszystkim pojawiło się w nim nazwisko księdza Jędrzeja Kitowicza z jego „Opisem obyczajów”. Zmiana dość zasadnicza, bo do starej trójki autorów – Bogusławskiego, Wyspiańskiego i Gombrowicza – doszedł autor może przez Polaków niedoceniony i mało czytany, ale diagnozujący rzeczywistość XVIII wieku jak nikt inny. Chcąc być precyzyjnym, muszę jeszcze powiedzieć o włożonych do scenariusza małych fragmentach zaczerpniętych z „Pamiętek Soplicy” Henryka Rzewuskiego. Teksty tej czwórki tworzą niezły pasztet, a właściwie bigos polski. Pracując nad nimi, muszę przyznać, że się łatwo w spektakl nie składają.

Na czym polega ta frudność?

W tym, można powiedzieć, tańcu polskim teksty autorów przeglądają się w sobie nawzajem. Klóćą ze sobą, spierają się, czasem chodzą pod rękę, a czasem wystawiają język. W tym wszystkim jest sporo zabawy literackiej; możemy obserwować nakładanie się,



KASIA CHMURA-CEGIELKOWSKA/TEATRALNA.COM

wzajemne przenikanie gatunków literackich, stylów epoki, a także idących za tym rodzajów teatru. Ale oczywiście zabawa literacka nie jest tutaj najważniejsza. Najważniejsze jest podkładanie luster nam współczesnym i rywalizacja powstających odbić. To stwarza dobrą okazję do przyjrzenia się minom, które autorzy robili lub usiłowali robić sobie współczesnym, a już na pewno nam – dzisiaj żyjącym. Każda z tych min wyrasta z innej rzeczywistości i przyprawia inną gębę. Nie podejrzewam, żeby ci autorzy mieli pełną świadomość, jak bardzo zaciągają nad widzami lub czytelnikami czasu dzisiejszego. A jednak, według mnie, robią to dość perfidnie.

A skąd wziął się Bogusławski, założyciel Teatru Narodowego?

Nad minami Wyspiańskiego, Kitowicza czy Gombrowicza Bogusławski sprawuje niejako dozór. Jego „Mimika”, czyli nauka gry scenicznej, jest przeciwieństwem wykładem o tym, że „nie ma namiętności albo uczucia, którego by bez pomocy wymowy nie można na postaci człowieka nie poznać; byleby tylko mimika jego była

doskonałą, niemylną i dobitną”. Jest nauką – mówiąc językiem współczesnym – o mowie ciała. A jaka to ważna nauka w dzisiejszych czasach, wiedzą o tym nie tylko aktorzy, ale może przede wszystkim politycy, którzy garściami z niej korzystają. Bogusławski łączy niejako pozostałych autorów, wprowadza literaturę w świat teatru, świat sztuczności, w świat gestów, min, masek, świat wszelakich form, jakie są możliwe do pokazania na scenie.

Co na to powiedziałby Gombrowicz?

Paradoksalnie wydaje się, że w tym zestawieniu Gombrowicz nie robi żadnej miny. Ten od min – przypominam „Ferdydurke” – nie robi miny. On namawia: „Już nadszedł czas, już wybiła godzina na zegarze dziejów – starajcie się przezwyciężyć formę, wyzwolić się z formy. Przestańcie utożsamiać się z tym, co was określa. Nie ufajcie własnym słowom. Mieście się na straży przed wiarą waszą i nie dowierzajcie uczuciom”. Miny do Polaków robiono w wieku XVIII, XIX i XX, ale gdy czytamy to my, żyjący dzisiaj, można odnieść wrażenie, że pewne teksty z tamtych czasów uaktualniają się

na nowo, ujawniając nieco inną treść. Mam nadzieję, że w tych minach zobaczymy naszą twarz dzisiejszą, śmieszna i straszną.

A jak przebiegły pana rozmowy z dyrektorem Teatru Polskiego Andrzejem Sewerynem?

Zanim zacząłem próby, za namową dyrektora Seweryna, spotkałem się z zespołem Teatru Polskiego i muszę powiedzieć, że spotkanie to zrobiło na mnie jak najlepsze wrażenie. To pierwsze czytanie scenariusza, daleko przed pierwszą próbą rozpoczynającą pracę, powiedziało mi bardzo dużo o zespole, z którym będę pracował, i o tym, co ten tekst dzisiaj naprawdę może znaczyć.

Zaskoczyło pana zaproszenie dyrektora Seweryna?

Czy ja się dziwię, że dyrektor Seweryn zaprosił mnie do Teatru Polskiego? Trochę się dziwię, a trochę nie. I mam nadzieję, że moja obecność nie spowoduje wielkiego zamieszania. Robię bardzo osobisty teatr, wymagam od aktora bardzo szczególnej wypowiedzi, ale wydaje mi się, że nie mącę aktorom w głowach, raczej staram się prostować – jeżeli mogę to tak

nazwać – kręte ścieżki ich obecności na scenie.

Jak porównałby pan sytuację Polski i Polaków z okresu pierwszej premiery „Min polskich” i dzisiaj?

Sytuacja sprzed ponad trzech lat nie jest porównywalna do dzisiejszej. (To, co powiedziałem, jest tak oczywiste, że aż głupio o tym mówić). „Miny” w Toruniu prognozowały sytuację, która może nastąpić, „Miny” dzisiejsze diagnozują to, czego jesteśmy świadkami. Ta okoliczność jest dla reżysera łatwiejsza i trudniejsza. Łatwiejsza, bo można liczyć na publiczność, która jest w dzisiejszym teatrze szczególnie wyczulona na aluzję polityczną, i trudniejsza, bo stawia przed teatrem większe wymagania. Przypomina mi się tutaj czas mojej pierwszej premiery w Teatrze IMKA. Był to „Opis obyczajów III”. Premiera tego spektaklu odbyła się przed 10 kwietnia 2010 roku i była przyjęta ze zrozumieniem aluzyjności tematu – kolejny spektakl odbył się już po katastrofie pod Smoleńskiem. Spektakl tak dalece nie odpowiadał w owym czasie nastrojom „ulicy”, że musiało upłynąć dobrych kilka miesięcy, zanim wróciło publiczności poczucie humoru, zrozumienie, że ironia jest jednym ze sposobów komunikowania się twórców z widownią.

Co pan na to, że „Miny polskie” rozpoczną w Teatrze Polskim obchody stulecia odzyskania niepodległości?

Nie robiłem nigdy spektakli rocznicowych – nawet w czasach słusznie zapomnianych, a dzisiaj z ochotą przywoływanych. Stulecie odzyskania niepodległości to piękna data, ale kiedy się temu bliżej przyglądam, to pytam sam siebie: co to za rocznica? Od roku 1918 do 2018 minęło wprawdzie sto lat, ale w tym czasie zdarzyło się nam być pięć lat pod okupacją niemiecką i 44 lata pod okupacją radziecką. Czyli połowa naszej niepodległościowej rocznicy jest jakoś zniewolona. Mamy czcić stulecie naszej niepodległości mimo braku ciągłości? Czuję się nieco zagubiony. Wiem, że jesteśmy dziwnym, mówiąc eufemistycznie, narodem z bujną wyobraźnią i wszystkim u nas może się zdarzyć. Klęska może być uznana za zwycięstwo, głupota za niezwykłą mądrość i przenikliwość, wada za zaletę. No, ale dosyć, posypuję głowę popiołem i niech „Miny polskie” będą wkładem w tę rocznicę. ☺☺